Nr 49. Kraków, 9 Grudnia 1893. Rok III.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya przy ulicy Straszewskiego l. 22.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie
rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową
rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,
oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Włościanie wielkopolscy.
(Pod rządem pruskim).

(Ciąg dalszy).

U bogatszych sprzęty są polilurowane i liczniejsze; oprócz szafy do talerzy prawie zawsze „za szkłem“ jest druga do rzeczy, krzesła wyplatane trzciną, albo z deskami, komoda, stół przykryty serwetą lub ceratą, mniejszy stolik, na którym leżą książki i gazety; w oknach są białe i kolorowe firanki, łóżka pokryte kołdrami.

Bardzo bogaci gospodarze mają piękne domy murowane, z wielkiemi oknami, prawdziwie papetowane pokoje, z malowanemi podłogami, białe, koronkowe firanki u okien, duże zwierciadła, piękne obrazy w złocistych ramach i wszystkie meble odpowiednie do tego.

Zboże przechowują włościanie na górze; kapustę z beczką, nieco perek i jarzyn mają pod ręką w komorze, resztę zaś w sklepie, zbudowanym w ogrodzie lub podwórku, i w kopcach czyli mogiłach. Zwierząt nie trzymają wielkopolscy wieśniacy w domach mieszkalnych, chyba bardzo biedni, jeżeli im zachoruje prosiątko albo cielątko, wsadzą je dla większej pielęgnacyi do komory. U biednych też jedne kury mają przywilej siadywania w kuchence albo pod kominkiem.

Płoty około zagród są u gospodarzy najczęściej z desek, przybitych do słupów wkopanych w ziemię; niekiedy napotykają się też płoty z kamieni, a u bogatszych drewniane sztachety. Robią także płoty z gałęzi, mianowicie około domów dominialnych, i to plecione z cienkich drążków pomiędzy żerdkami, przymocowanemi do grubych kołków lub po prostu uplecione z gałęzi pomiędzy wbitemi w ziemię kołkami, pierwsze przedstawiają się ładniej, są wyższe i trwalsze, drugie niskie przetrzymają zwykle ze dwa lata, poczem zastępowane są nowemi, a stare idą na ogień. Czasami też okopują ogród głębokim rowem, na wale sadzą krzaki jaśniku (lugustru), zwanego także nygusem, które rozkrzewiwszy się stanowią plot niezły.

2. Ubranie wielkopolskich włościan tak mężczyzn, jak kobiet jest bardzo rozmaite; co powiat, okolica, a nawet parafia napotyka się w ubraniu pewne odmiany. Wogóle jednak Wielkopolanie i Wielkopolanki ubierają się czysto, cało, porządnie, ładnie, a co majętniejsi i bogato. Podartego, brudnego, obłatanego odzienia nikt tu nie nosi; chyba dziady i baby chodząc po prośbie, uważają za swój obowiązek ubierać się w połatane, brudne i podarte suknie.

Mężczyzni noszą latem na codzień spodnie (zwane portkami) z szarego lub modrego płótna i kurtkę (tak nazwaną jakę) z bawełnianej materyi; w zimie ubierają się w spodnie kożuchowe czyli skórzaki i w krótki kożuszek, jedno i drugie niczem nie podszyte. Na święto noszą spodnie sukienne, wpuszczone zwykle w długie, sięgające do kolan buty; kaftan granatowy albo niebieski, bez rękawów, z dwoma rzędami mosiężnych guzików, nazwany brzuszlakiem, noszą pod suknią wierzchnią, zrobioną najczęściej z granatowego sukna; suknia ta jest długa do kostek, a z tyłu ułożona w piękne, sute fałdy. W zimie do kościoła lub w podróż noszą chłopi długie kożuchy, upstrzone różnokolorowem naszyciem i rzymykami, które to ozdoby odbijają jaskrawo od białego tła kożucha. Na głowę kładą w zimie czapkę czworograniastą z siwym barankiem, tak zwany kaptur; latem okrągły kapelusz z szerokiemi brzegami. Suknia sukienna nosi się do galowego ubrania, a zwyczajniejsze ubranie noszą jeszcze sukmany z bawełnianej, szarej materyi, lub z granatowego płótna, tak długie jak suknie; pierwsze nazywają się wołoszkami, drugie kieckami, które jednak w ostatnim czasie prawie zupełnie wyszły już z użycia. Wogóle włościanie wielkopolscy coraz więcej zarzucają piękny strój staropolski, a ubierają się w kamizelki, zwane westkami, i w krótkie surduty; zwłaszcza młodzi parobcy lubią się przebierać.

Tak samo ma się rzecz z ubraniem kobiet; w niektórych okolicach zaczynają nosić staniki z rękawami, z tej samej materyi co spódnice, a prawie wszędzie zamiast obcisłych kabatów sukiennych z krótszemi lub

dłuższemi fałdami przywdziewają krótkie, wiszące kaftaniki, które nazywają jaczkami. Latem jednakże w bardzo wielu jeszcze miejscowościach zachowują zwyczaj noszenia sznurówek bez rękawów, wyciętych około szyi; pod sznurówkę kładą bufiastą koszulkę z cienkiego, białego szyrtyngu, ozdobioną u góry haftowanym lub koronkowym kryzikiem (jest to suto zmarszczona fryzka). Na koszulce rozwieszają kilkanaście sznurów szklanych paciorek, ale bardzo wiele córek gospodarskich, a nawet dziewcząt służebnych, nosi prawdziwe korale, wartające od 18 do 40 talarów (to jest przeszło 70 reńskich). W niektórych okolicach, jak n. p. w parafiach jankowskiej, lutogniewskiej i skalmierzyckiej, powiatów krotoszyńskiego i pleszewskiego, noszą kobiety długie, sukienne kabaty, pięknie sznureczkiem wyszywane, które kosztują od 18 do 25 talarów. Na święta noszą spódnice perkalowe i wełniane, często z drogich materyj, a prawie zawsze w jasnych, ślicznych kolorach i gustownych deseniach; fartuchy także perkalowe, wełniane najpiękniejszych kolorów i białe muślinowe, oszyte koronkami. Na głowy kładą czapeczki, zwane kapkami; są one białe, tiulowe, często haftowane, oszyte koronkami, tak zwanemi tiulkami, które ułożone są w drobniutkie rureczki. Mężatki opasują kapki jedwabnemi, kolorowemi chustkami, złożonemi wązko i związanemi nad czołem na małą korkardę; dziewczęta zaś upinają na kapce po kilku gałązek rozmarynu. Latem noszą na kapce, jako ochronę od słońca, małe perkalowe lub batystowe chusteczki, które w izbie i kościele zdejmują; w zimie natomiast obwięzują głowy dużemi, ładnemi, wełnianemi chustkami, które pozostawiają na głowie, gdziekolwiek w nich przyjdą. W niektórych stronach, mianowicie na Kujawach, w kilku wsiach powiatu krotoszyńskiego i około Sulmierzyc, noszą kobiety na głowach zawoje z chustek, z pod których u mężatek wychodzi szeroka, przeźroczysta, ładnie ułożona koronka; w zawojach tych ślicznie wyglądają, zwłaszcza co ładniejsze kobiety. Warkocze noszą dziewczęta rozpuszczone, zaplecione różnokolorowemi wstęgami; mężatki zaś mają włosy obcięte lub schowane pod kapkę. Trzewiki noszą Wielkopolanki w zimie skórkowe na wysokich korkach, w lecie szaszadronowe, sznurowane lub z gumami, rzadko zapinane na guziki, choć bogate elegantki i takie kupują. W niektórych okolicach noszą na codzień drewniaki; jest to rodzaj pantofli skórzanych z drewnianą podeszwą; gdzieindziej znowu używają tak zwanych piorunów, to jest trzewików skórkowych z drewnianą podeszwą, w środku wyłożonych kożuchem; pioruny są obuwiem bardzo ciepłem.

Na codzień noszą włościanki spódnice płócienne, modre w białe, niebieskie lub zielone kwiatki, a także ciemne, perkalowe, takież same sznurówki lub jaczki; fartuchy zaś mają zwykle jasnych kolorów perkalowe lub płócienne; tylko do kuchni i prania zapasują fartuchy modre z grubego płótna. W zimie noszą kabaty na codzień barchanowe, na święto z ładnych materyj wełnianych, tyflowe i welwetowe.

Koszule tak mężczyzni, jak kobiety mają z grubego płótna, bardzo często domowej roboty; jednakże koszule kobiet, od szyi do bioder, rękawy i kołnierzyk

Wieczne odpoczywanie, racz mu dać Panie!

napisał
X. Zygmunt Chełmicki.

(Ciąg dalszy).

VI.

Długoletni nałóg podkopał zdrowie Jakóba i dlatego, chociaż od czasu onego przyrzeczenia w plebanii zmienił zupełnie tryb życia i do szynku wcale nie zaglądał, jednakże zarodki nieubłaganej choroby poczęły rozwijać się szybko. W połowie zimy zaniemógł ciężko. Wprawdzie po kilku tygodniach przyszedł o tyle do siebie, że się mógł zwlec z łóżka, zdrowia wszakże dawnego nie odzyskał. Suchy, ciężki kaszel trapił go ciągle, siły słabły coraz więcej i każdemu było widoczne, że nikł w oczach. Przeczuwając zapewne zbliżającą się śmierć, garnął się całą duszą do Boga. Widywano go codziennie w kościele, a co tydzień niemal do Sakramentów świętych uczęszczał. Modlił się tak żarliwie i rzewnie, że patrząc nań serce rosło.

Pod wiosnę zaniemógł znowu i odtąd z łóżka więcej nie powstał. X. Anzelm odwiedzał go często i w chwilach gorzkiego żalu lub zwątpienia krzepił słowem pociechy i do zdania się na wolę Bożą nakłaniał. Kilkakrotnie jednał go z Bogiem, a ludzie, którzy wchodzili do izby za księdzem, niosącym Wiatyk św., budowali się rezygnacyą i pobożnością Piętki.

Pewnego poranku wraz z pierwszym blaskiem wiosennego słonka Jakóba dusza opuściła kruche jego ciało. X. Anzelm wnet do nieszczęsnej wdowy pospieszył, w ciężkiem strapieniu dodawał jej odwagi, a żal szczery i głęboki po ojcowsku koił.

Następnego dnia pod wieczór kapłan, poprzedzony dwoma długiemi szeregami ludzi z jarzącemi świecami w ręku, ciało do kościoła przeprowadził, gdzie je złożono na katafalku rzęsiście obstawionym światłem. Z ubożuchnej świątyni aż łuna biła od blasku, a ludziska szczelnie ją zapełnili, pragnąc za przykładem kapłana oddać zmarłemu ostatnią posługę.

Nazajutrz, po skończonej Mszy uroczystej, pogrzeb wyruszył z kościoła, a gdy ksiądz zaintonował:

„Dobry Jezu a nasz Panie,
Daj mu wieczne spoczywanie“.

są zrobione z płótna kolińskiego. Bieliznę na pościel mają też Wielkopolanki bardzo ładną; prześcieradła z cieńszego a tak zwane płachty z grubego, białego płótna; puszwy i puszewki płócienne lub perkalowe, w niebieskie albo różowe kratki, lecz bardzo często już spotkać już można, zwłaszcza u majętniejszych, białe na pościel powłoki, ozdobione haftowanemi wstawkami i koronkami. *(C. d. n.)*

JAN MATEJKO.

(Ciąg dalszy).

Wyprawa Sobieskiego w obronie chrześcijaństwa pod Wiedeń i zmiażdżenie na zawsze Turków, to już ostatni, wielki czyn Polski przed rozbiorem. Jednakże nie ostatni w dalszem życiu narodu polskiego. Nawet w czasie rozbioru naród ten pokazał, że żyć powinien, bo stworzył *Konstytucyę 3-go maja*. Co to była ta *Konstytucya?*

Pierwszy rozbiór (bo było ich trzy) okroił Polskę bardzo, ale jej jeszcze zupełnie nie zniszczył. Został jeszcze król, została jeszcze większa część ojczyzny, bo Wielkopolska i Kraków, całe Mazowsze z Warszawą, znaczna część Litwy i Ukrainy, Podole, Wołyń, Podlasie. Było jeszcze z czego się dźwigać, a dał Bóg teraz i rozum lepszy. A więc dźwigać się, stało się teraz hasłem wszystkich uczciwych ludzi. Do zguby przyczyniło się wybieranie królów, zrywanie sejmów przez tak zwane *nie pozwalam* jednego posła, brak dobrego sądownictwa i t. d. To wszystko trzeba znieść, a ustanowić dziedziczność tronu, naprawić sejmowanie, wprowadzić wszędzie ład i porządek. Trzeba nadto podnieść mieszczaństwo i lud wiejski. Celem takiej naprawy państwa zwołał król sejm do Warszawy, który cztery lata radził, bo było nad czem radzić, ale też dokonał wielkiego dzieła. Uchwalił dziedziczność tronu, zniósł zgubne *nie pozwalam*, zaprowadził we wszystkiem ład i porządek, nadał lepsze prawa mieszczaństwu, a i dla włościan postanowił to, czego jeszcze w żadnem państwie na świecie nie uczyniono Z dawnych czasów zachował się nie tylko w Polsce, ale i wszędzie gdzieindziej, ten zwyczaj, że dziedzic miał władzę sądowniczą nad włościaninem. Taki stosunek poddanego do pana był zły, bo pan mógł swojej władzy nadużyć. Ten zły obyczaj sejm zniósł i poddał włościan pod te same prawa i sądy, co inne stany. Najtrudniejszą sprawą była *pańszczyzna.* Było wielu posłów za tem, żeby ją znieść, ale rozumnie inni zapytywali, co na to powiedzą inne państwa, jak Prusy, Austrya, Francya, Rosya, gdzie pańszczyzna jest i gdzie nikt nie myśli o jej zniesieniu. Jeżeli my zniesiemy, lud tamtych państw zażąda tego samego prawa, a te mogą nam wypowiedzieć wojnę i zginiemy do reszty. Obawy te nie były próżne. Rosya na samą wieść, że o tem Polacy myślą, zaczęła szlachtę przed całym światem oczerniać,

---

zdawało się, że strumień miłosierdzia Bożego spada na tę trumnę, która zawierała znikome szczątki pojednanego z niebem człowieka. I ludziska szli w rzewnem skupieniu, łącząc się ze smętnym śpiewem kapłana, którego głos zlewał na ich serca balsam ukojenia.

Skoro trumnę postawiono nad otwartą mogiłą, X. Anzelm wygłosił mowę, rozpoczynając od słów Pisma św., iż większa będzie radość w niebie z powodu jednego nawróconego grzesznika, niż dla dziewięćdziesięcu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nawrócenia nie potrzebują". Następnie, skreśliwszy ciemną przeszłość zmarłego, gdy staczał się coraz niżej aż nad samą przepaść niechybnej zguby, jął przedstawiać jego szczerą poprawę, głęboki żal i przykładny koniec: „kto mu towarzyszył w złem, zakończył, niechże go naśladuje w nawróceniu, a to samo niebo, które w tej chwili otwiera się przed Jakóbem i jego także przygarnie".

Po tych słowach stłumione łkanie odezwało się ze wszystkich stron. Ksiądz odmówił jeszcze cichą modlitwę, poczem, kiedy już zabierano się do spuszczenia trumny do grobu, z potężnej jego piersi odezwał się ostatni śpiew: *Requiescat in pace!* I dziwna rzecz ludzie, którzy tyle razy w życiu już go słyszeli, w tej chwili doznali nowego wrażenia. Zamarło łkanie; Jakóbowa i sieroty przestały zawodzić; uszy zaś wszystkich goniły za echem śpiewu, który ginął powoli, zostawiając po sobie spokój w duszach ludzkich. Każdy, obawiając się zakłócić ciszy, stał niby wrośnięty w ziemię, tylko serce żywiej mu biło, a jakaś nieznana błogość wnikała do piersi.

Tchnienie budzącej się wiosny zlało się z tem echem pieśni na ostatnie, ziemskie pożegnanie biednego Jakóba.

Ciszę przerwał pierwszy kapłan, rzucając garść ziemi na spuszczoną do grobu trumnę. Za nim każdy w milczeniu zbliżał się i czynił to samo. Powoli grób począł się zapełniać ziemią, coraz ciszej spadała, aż wreszcie oczom ludzkim ukazała się niewielka i bezkształtna mogiła, na której grabarz szpadlem nakreślił znak Krzyża św.

X. Anzelm klęczał jeszcze długo zatopiony w modlitwie, poczem powstał, garnącą się do jego kolan wdowę i sieroty dobrotliwie po głowach pogłaskał i po-

że chce wywołać bunt włościan we wszystkich państwach i dlatego pragnie u siebie pańszczyznę znieść. Znalazł Sejm na to radę. Nie uchwalił formalnego zniesienia pańszczyzny, żeby nie dać powodu żadnemu państwu do niezadowolenia, lecz postanowił rzecz, która po cichu do tego samego celu prowadziła. Orzekł mianowicie, że zatwierdza układy, jakie włościanie pozawierają z dziedzicami celem zniesienia pańszczyzny. Pozostawił więc sejm tę sprawę do załatwienia stronom intersowanym. Do tego już żadne mocarstwo nie miało prawa się mieszać, a skutek tego zarządzenia łatwo było przewidzieć. Jedni, jak sejm o tem dobrze wiedział, boć tam zasiadali posłowie ze wszystkich stron Polski, zniosą pańszczyznę bez wszelkiej pretensyi, drudzy każą sobie może płacić czynsz, a jeżeliby się znaleźli i tacy, co ani tego, ani tego nie zechcą zrobić, to z tymi będzie można załatwić się później, teraz zaś nie będą mieli powodu wzniecać rozterek w kraju.

Takie ważne postanowienia uchwalił ten sejm dnia 3-go maja 1791 r. i to jest sławną *Konstytucyą*, którą tego samego roku zaprzysiągł król, senat i posłowie wśród uroczystego nabożeństwa w kościele św. Jana w Warszawie przy niezliczonych tłumach uradowanej ludności. Tę tak wielką i wspaniałą chwilę z dziejów naszych namalował znowu ś. p. Matejko, a taką niejako dał nam przy tej sposobności naukę: „Bracia moi! w Konstytucyi 3 go maja przodkowie dali nam przykład miłości wszystkich stanów, otóż ja wam ten obraz namalowałem, ażebyście o tej miłości nie zapominali, jedni drugim pomagali i tak z niedoli się dźwigali“. Ale nie tylko ta nauka z tego obrazu Matejki wypływa.

Głównym powodem tego, że sejm ten sławny nie uchwalił formalnego zniesienia pańszczyzny, lecz chwycił się wybiegu, była obawa przed Rosyą. Że obawa ta nie była płonną, powiedzieliśmy już wyżej, wyraźniej widzi się to z tego, co się potem stało. Jak zapewne kochanym Czytelnikom wiadomo, Moskwa, która nie życzyła sobie podźwignienia się Polski w czemkolwiek, wystąpiła natychmiast przeciw *Konstytucyi 3-go maja* pod pozorem, że jej naród sobie nie życzy, że tylko część łajdackiej szlachty króla do tego zmusiła. Było to ohydne kłamstwo, bo w rzeczywistości znalazło się tylko trzech takich ludzi i to przekupionych przez Moskwę, ktorzy na tę Konstytucyę się nie zgodzili i tak zwaną Konfederacyę Targowicką zawiązali. — Ale tem kłamstwem ohydnem zasłoniła się Moskwa przed światem, do Polski z wielkiem wojskiem wkroczyła, dzieło 3-go maja zniszczyła i wraz z Prusami drugiego rozbioru dokonała. Taki był koniec tej sławnej Konstytucyi, którą Polska w podniesieniu stanu mieszczańskiego i włościańskiego chciała wyprzedzić wszystkie inne narody.

Kto tedy z Braci włościan na obraz Matejki się popatrzy, a ten los *Konstytucyi* sobie przypomni, usłyszy prawie te słowa malarza: „Bracia włościanie! Sam z wieśniaczego stanu pochodzę i wielce was przez całe życie kochałem. Nie gardźcie zatem, drodzy bracia, nauką, ją wam w tym obrazie pozostawiam. Wiem ja, że schyzmatycy i ci, co im służą dla zaguby naszej

---

żegnawszy zebranych „Pochwalonym“, powoli oddalił się ze cmentarza.

Ludzie zaczęli się również rozchodzić, a każdy pod wpływem odniesionego wrażenia wracał do domu milczący. W mieście dopiero zagadnął Kos Płotkę.

— Już to co prawda piękniejszego pogrzebu i jakiś hrabia by nie miał.

— Rzeczywiście, ale bo też takiego śpiewania, jak żyję, nie słyszałem, człowiek ani czuje, kiedy serce mu mięknie i łzy ciurkiem z oczu płyną. I dziwić się tu, że do tego Malutkiego tak wszystko lgnie. Sami przecież kumie widzicie, jeszcze roku niema, jak przybył, a całe miasto niemal poszłoby za nim w ogień.

— On chyba jakąś sztukę jednania sobie ludzi posiada.

— Pewno, pewno. Ot będzie z tydzień temu, spotkałem Ignaca i pytam go, jak to było, że go ksiądz tak przekabacił. On powiada, a bo ja wiem, to tylko pamiętam, że kiedym zobaczył, iż moje własne dziecko na ręku niesie, kiedy potem zaczął do mnie mówić: o mój drogi, o mój bracie, kiedy jął przekładać, kim byłem, a kim być mogę, to czułem, jak mi coś we wnętrzu świdruje.

— Powiadają, mój kumie — przerwał mu Płotka — że każdy człowiek ma słabiznę, w którą, gdy trafisz, wszystko w nim mięknie, otóż właśnie on umie ją wynaleść i w samą porę trafić, a wtedy oprzeć się nie można.

— Franek, co u niego za furmana służy, gadał mi, że to nic dziwnego, iż ludzie tak do niego ciągną, skoro nawet nieme stworzenia go znają. Gdy mówi, wejdzie do stajni lub obory, to zaraz ku niemu łby odwracają. A on to pogłaszcze, to zagada, to kawałek chleba podetknie; a przecież bydlę to rozumie. Gdy, powiada, z nim jechać a droga piaszczysta lub błota, to ledwie za wieś wyjedzie, obejrzy się na wszystkie strony, czy go kto nie widzi, bo go pewno trochę wstyd i zaraz z bryczki złazi i piechotą idzie, aby koniętom było lżej. „Niech się wysapną, dodaje, bo to nie żart taką fasę jak ja wieść“. Albo i z tym żurawiem.

— Co takiego?

— A no tak to było — opowiadał w dalszym ciągu Płotka. — W jesieni chłopcy, a był między nimi

Wiary św. i naszego narodu, obudzają w was nienawiść do szlachty z powodu pańszczyzny. Otóż odpychajcie, drodzy bracia, tych wrogów od siebie z pogardą i zapamiętajcie sobie to dobrze, że przez kłamliwego, podstępnego i obłudnego zawsze schyzmatyka blizko **sto** lat dłużej odrabialiście pańszczyznę". *(C. d. n.)*

Gwałty moskiewskie na Litwie.

Katolickie pismo *Czas* otrzymało z *Wilna* z dnia 25-go listopada następujący list:

Serce się kraje na widok tego wszystkiego, co się dzieje na Litwie. Pomijając to, iż doznajemy pod każdym względem niesłychanego ucisku, że zabierają nam ziemię, rujnują ekonomicznie, zabraniają mówić po polsku, że od trzydziestu lat każą nam płacić wojenną kontrybucyę, że jesteśmy wyzuci z urzędów, wszędzie stoimy po za prawem — ale na domiar niedoli doszedł w ostatnich czasach ucisk religijny do niesłychanych rozmiarów. Duchowieństwo nasze prześladują na każdym kroku, każą dziatwie modlić się w obcym języku, kasują klasztory i kościoły, zabierają nam jeden po drugim na cerkwie.

Taki los spotkał w tych dniach kościół Benedyktynek w Krożach. Słynne z pobytu poety Sarbiewskiego Kroże (powiat rossieński, gubernia kowieńska) kiedyś lepszą cieszyły się dolą. Były tu przed laty głośne na całą Litwę szkoły, a przedtem kolegium jezuickie. Obecnie mieścina ta w upadku, jak też i większość miasteczek na Litwie. Z rozporządzenia władzy zakonnice zostały tej wiosny gwałtem wywiezione, klasztor zamknięty, fundusze klasztorne oddane na cele prawosławia. Taki los miał też spotkać i kościół klasztorny, fundowany przez Wołodkowiczów lat temu niespełna trzysta.

Lud nasz, odznaczający się przywiązaniem do wiary ojców i pobożnością, postanowił bronić kościoła do ostatka i od połowy października, kiedy się rozeszła wieść, iż kościół ma być bezwarunkowo zabrany, zapełniał takowy we dnie i w nocy, nie dozwalając wynieść Najśw. Sakramentu. Tak stały rzeczy aż do katastrofy, która nastąpiła d. 22 listopada.

Dnia tego przybył do krożskiego kościoła o godzinie 2-ej w nocy gubernator kowieński Klingenberg i z wezwanymi kozakami z pobliskiego miasteczka Wornie, gdy lud nie chciał dobrowolnie opuścić świątyni, dopuścił się okrucieństw, które przejmują zgrozą i krwawe łzy wyciskają. Kościół został otoczony przez wojsko i co się potem działo, jakich się tam gwałtów dopuszczano, tego już pióro moje opisać nie zdoła. Kościół znieważono, krew płynęła strumieniem. Kilkanaście ludzi zabito w kościele, około stu jest ranionych. Kilkadziesiąt osób utonęło w rzece Krożenta, ratując się przed kozakami; kilkuset jest uwięzionych.

Oto są zdobycze gubernatora Klingenberga z nocnej wyprawy na kościół w Krożach. Gdy kreślę te słowa, Klingenberg znajduje się w Krożach, z jego rozkazu kozacy plądrują po okolicznych wsiach, szukając

---

i mój Stasiek, na łące spotkali żurawia, jak daremnie próbował rozwinąć skrzydła, gdyż jedno złamane, czy zwichnięte obwisło mu zupełnie. Chłopcy otoczyli go, złapali i nuże do miasta nieść. Aż tu zachodzi im drogę ksiądz. „Dzieci, mówi, jak możecie biedne stworzenie męczyć", a oni dalejże tłómaczyć, jako go schwytali. „To, powiada, dajcie mi go, każdy dostanie po pięknem obrazku odemnie". Chłopcy nie dali sobie dwa razy mówić. Wziął więc ptaka pod pachę i poniósł go na plebanię. Tam jak mu zaczął chore skrzydło wodą okładać, to do niego zagadywać, to mu jadło przynosić, nie upłynęły dwa tygodnie, a żuraw zdrów, tylko już odlecieć za innemi nie chciał, bo się jak pies do księdza przywiązał. Gdzie się on ruszy, ptak za nim. Idzie do kościoła, to on póty przede drzwiami stoi i dziobem kamyki przebiera, aż ksiądz wyjdzie. Wtedy skrzydłami trzepoce i razem na plebanię idą. Na procesyi lub na pogrzebie to przed krzyżem kroczy z takim majestatem jak książę jaki, ino łeb co chwila odwraca i patrzy, czy ksiądz idzie. Widzieliście go zapewne przed chwilą na pogrzebie Jakóba, tak samo przed krzyżem i bractwem szedł i dopiero z księdzem ze cmentarza odciągnął.

— Prawda, widziałem, tylko nie przyszło mi na myśl właśnie zapytać, zkąd się ptak wziął. Więc też tem więcej, kumie, możecie się przekonać, że on coś w sobie ma, co ku niemu wszystkich ciągnie.

— A jednak Mądrala — zauważył Płotka.

— O! z tem co innego, w nim zdaje się chyba serce skamieniało. Im ludzie więcej do księdza się garną, tem on jakby się na niego srożej zawzinał. Od pewnego czasu chodzi jak mruk i gadać z ludźmi nie chce. A wspomnij mu o księdzu, to tak na was spojrzy, jakby chciał wzrokiem swoim prześwidrować. Ciągle tylko u Moszka siedzi i obaj coś radzą, pewnie nic dobrego.

— No, ale bywajcie kumie — dodał po chwili — bo w domu jeszcze robota czeka.

— Bywajcie! — odparł Płotka i obydwaj znikli w drzwiach sąsiadujących chałup.

(Ciąg dalszy nastąpi).

niby winnych. Żeby więc wytłómaczyć dokonane okrucieństwa, chciałby on temu wszystkiemu nadać pozór z góry uknutego spisku, więc też te nieszczęśliwe uwięzione ofiary mają być stawione przed sądem wojennym i jak mówią, kilkunastu z nich za sprzeciwianie się władzy ma być rozstrzelanych.

O pieniądzach.

(Ciąg dalszy).

Ostatni raz mówiliśmy o tem, jak sobie ludzie radzić musieli, kiedy jeszcze pieniędzy nie znano i jak powoli od prostej zamiany doszli do tego, że posiadali już coś takiego, za co wszystko zawsze kupić i sprzedać było można. Pieniądz ten ich w rozmaitych miejscach rozmaity, miał jednak wielką jeszcze wadę: nie można go było dzielić na mniejsze części i trudno go było zawsze ze sobą nosić. Bo pomyślmy sobie, że używamy owcy jako pieniądza i za jedną owcę dostajemy parę butów, czapkę, kapelusz i t. d., to cóż robić, jeżeli nam tylko butów potrzeba? Owcy podzielić nie można, a kupować niepotrzebne rzeczy trudno. Na to mógł poradzić tylko taki pieniądz, któryby można na drobne części dzielić i to tak, żeby te części miały razem taką samą wartość jak całość, z której powstały. Najlepiej nadawały się do tego metale, jak żelazo, miedź, srebro i złoto.

Jeżeli więc ktoś posiadający n. p. sztabę miedzi, mającą wartość pięciu owiec, chciał kupić tylko jedną owcę, odcinał z tej sztaby piątą część i w ten sposób otrzymywał monetę, jakiej potrzebował. Zwyczaj ten w dawnych czasach bardzo rozpowszechniony zachował się jeszcze do dzisiejszego dnia u ludu Niam-Niam w Afryce. Ile razy taki Niamniamczyk potrzebuje drobniejszej monety, odłamuje ze sztaby miedzi mniejsze kawałki, przerabia je na obrączki i używa tak jak my monety zdawkowej czyli tak zwanych „drobnych“.

Od tego rodzaju pieniądza niedaleko już do takiej monety, jakiej my używamy. Chodziło jeszcze o to, by wynaleść taki metal, któryby nie tylko łatwo dawał się dzielić, ale żeby był bardzo trwały i miał znaczną wartość, bo inaczej trudnoby było większą sumę pieniędzy ze sobą nosić. Pomyślmy sobie, coby to było, gdyby zamiast pieniędzy srebrnych, złotych a nawet miedzianych były monety żelazne. Jaki to tęgi wór trzebaby dźwigać ze sobą, chcąc droższą jakąś rzecz kupić.

Otóż najlepszemi metalami na taką monetę, któraby wszystkim tym warunkom zadość uczyniła, były złoto i srebro, które są i najwięcej wartościowe, bo ich najmniej na świecie i najtrwalsze. Jeszcze jedna niewygoda pozostawała jednak. Oto każdy sprzedający, chcąc przekonać się o wartości takiej złotej czy srebrnej monety, musiał ją ważyć i próbować, czy metal nie jest fałszywy. Temu zaradzić w ten tylko sposób było można, że państwo, wybijające monety, zapatrywało je w znaczki, czyli dawało stempel, na potwierdzenie, że metal prawdziwy i podawało prawdziwą wartość przez stosowne napisy. W ten sposób pieniądz z towaru, jakim był dotychczas, stał się właściwym pieniądzem t. j. tym miernikiem, wedle którego oceniano wartość każdego towaru.

(C. d. n.) *M. S.*

Rady domowe i gospodarskie.

Pasza spleśniała.

Gdybyśmy więcej uważali na paszę, jaką dajemy bydlętom, uniknęlibyśmy nieraz straty w naszem bydle, lub też uchronili je od wielu chorób. O jednej z takich szkodliwych pasz, mianowicie spleśniałej, powiemy słów kilka.

Spleśniałą nazywamy paszę, pokrytą drobniutkiemi grzybkami pleśniowymi, barwy siwawej. Grzybki te unoszą się w powietrzu, a są tak małe, że ich wcale nie widzimy. Gdy pasza nie dobrze wysuszona, lub jest złożona w miejscu, gdzie woda ma do niej dostęp, wówczas owe grzybki osiadają na niej, rozradzają się tysiącami i żywią się pokarmami zawartemi w paszy, przyczem niszczą takową i sprawiają, że jest mniej pożywną i mniej strawną. Grzybki owe, dostawszy się wraz z paszą do żołądka zwierząt, sprowadzają bardzo wiele chorób, często nawet śmierć.

Najlepiej byłoby, paszy spleśniałej wcale nie używać jako karmy; jeżeli jednak brak paszy zmusi nas do tego, wówczas należy tak postąpić: Jeżeli to jest siano, słoma, lub koniczyna spleśniały, należy taką paszę przesuszyć — w zimie chociażby w pogodny a mroźny dzień, a następnie na silnym wietrze dobrze widłami wytrząść, a tak dużo pleśni z wiatrem ujdzie lub opadnie na ziemię. Części bardzo spleśniałe należy koniecznie odrzucić i nawet na podściółkę nie używać, chyba pod tylne nogi zwierzęcia tak, aby pyskiem nie dostało. Następnie należy taką paszę pociąć na sieczkę i dobrze gorącą wodą sparzyć, przez co grzybki pleśniowe zostaną zabite a szkodliwe ich działanie po części usunięte. Również ziarna, mąki, makuchów spleśniałych i t. p. nie należy używać surowych, lecz wysuszyć, ugotować i tak dopiero dawać bydlętom. Jeżeli obok paszy spleśniałej posiadamy i paszę niespleśniałą, to należy w porcyi dziennej nie wielką część paszy spleśniałej przyrządzonej dawać, a resztę paszy zdrowej. Gdyby pasza nie bardzo była spleśniała, to po wysuszeniu i wytrzepaniu można nie wielką jej ilość zmieszać z paszą zdrową i tak dać bydłu.

Pasza zamulona.

Żeby to gospodarz miał do czynienia tylko z paszą spleśniałą, toby, postępując według wskazówek wyżej podanych, mógł z biedą bydlęta wyżywić. Niestety w tym roku nie tylko pasza zamokła i spleśniała, ale w wielkiej części naszego kraju rzeki wystąpiły z brzegów i zamuliły paszę, t. j. pozostawiły na łodygach i liściach traw dużo piasku i drobniutkiego pyłu rzecznego. I taka pasza, podobnie jak spleśniała, jest szkodliwą. Namuł, gdy się dostanie wraz z trawą do żołądka zwierząt, nie może być strawionym, pozostaje w żołądku, często zbija się w drobne grudki, żołądek słabnie, trawienie odbywa się nieregularnie, a zwierzę wychodzi na tem najgorzej, bo chudnie, kaszle, a często i ginie. Prócz tego pył z takiej paszy wpada przy ściąganiu jej przez bydło z za drabiny do oczu i sprawia choroby oczu tak, że bydlę często wskutek tego ślepnie, szczególnie zdarza się to u koni.

Ha — pomyśli sobie gospodarz — jeżeli chodzi tylko o uwolnienie paszy od piasku i namułu — to łatwa rzecz — trochę tylko pracy i zachodu, aby przemłócić taką paszę, a następnie dobrze wytrząść widłami. — Prawda to — i z taką paszą trzeba koniecznie tak postąpić. Jednakowoż pasza zamulona, chociażby się ją i najlepiej oczyściło z namułu, woda zabrała z niej dużo części pokarmowych i to najlepszych, a pasza taka jest niesmaczną i niestrawną. Aby ją cokolwiek poprawić, należy taką paszę, oczyszczoną z namułu, dobrze skropić wodą, w której rozpuszczono sól bydlęcą, a tak i smak się poprawi — bydlę chętnie ją będzie jeść — i pasza jest strawniejszą. Lepiejby było, kto ma sieczkarnię, żeby pociął paszę, oczyszczoną z namułu, na sieczkę, posypał solą (garść wystarczy na dobry cebrzyk) i zaparzył gorącą wodą. Bydlęta bardzo chętnie taką parzonkę jedzą, a jest ona nie tylko smaczniejszą, ale i strawniejszą. — Gdyby kto miał obok paszy zamulonej i paszę zdrową, niezamuloną, dobrze uczyni, gdy dając bydlętom, wymięsza je razem. Tak jeszcze mniej będzie szkodliwą. *H.*

Wiadomości polityczne.

Jak słychać, posiedzenia *Rady państwa* w Wiedniu potrwać mają do 20-go grudnia, potem przyjdzie kilkotygodniowa sesya sejmów, a więc i naszego, a z końcem lutego zbierze się znowu *Rada państwa*. Najważniejszą uchwałą, jaka w tym tygodniu zapadła w Radzie państwa, jest znaczne powiększenie obrony krajowej i obowiązkowa, dwuletnia służba wszystkich żołnierzy, oddanych wprost do landwery. Zwiększą się przez to wydatki na wojsko, ale temu zaradzić nie można, skoro inne państwa nieustannie siłę zbrojną powiększają. Zostać tak, znaczyłoby zdać się na ich łaskę i niełaskę i zapłacić oszczędność chwilową nieobliczonemi stratami w przyszłości.

Na *Węgrzech* ministrowie *masońscy* przedłożyli już sejmowi projekt o ślubach cywilnych i rozpoczęli tym sposobem wojnę z Kościołem katolickim. Biskupi, całe Duchowieństwo i wierni skupiają się i radzą, jakby najskuteczniej walkę przeciw temu podjąć. Narady te są bardzo potrzebne, bo w węgierkim sejmie, jak słychać, mają większość *usłużnicy masońscy*, więc projekt może być uchwalonym. Sprawy tej nie spuści *Krakus* z oka i będzie kochanym Czytelnikom donosił, co się dalej będzie działo.

W *Niemczech* zaszły bardzo ważne wypadki dla Kościoła katolickiego i narodu naszego. Roku 1872-go przeprowadził *Bismarck*, ów wielki wróg Wiary naszej św. z *liberałami* t. j. *masońskimi usłużnikami* prawo, na mocy którego OO. *Jezuici*, znani ze swej gorliwości o chwałę Chrystusa Pana, zostali z całych Niemiec wydaleni. Było to straszne bezprawie, bo w rzeczach kościelnych nie państwo ma rozstrzygać, lecz Ojciec św.; a równocześnie była to wielka krzywda, wyrządzona najpierw zakonowi, którego jedyną winą było tylko to, że troskliwie pielęgnował Słowo Boże, a potem wszystkim katolikom niemieckim; była to wreszcie obraza całego Kościoła katolickiego. To ohydne prawo parlament niemiecki właśnie w tej chwili zniósł, za co należy się mu uznanie, a jeżeli uchwałę tę *Rada związkowa* zatwierdzi, to wielka wdzięczność będzie się należała zwłaszcza cesarzowi *Wilhelmowi II-mu*, za którego rządów po usunięciu *Bismarcka* z ministerstwa już niejedna niesprawiedliwość została usunięta.

Ten sam nieszczęsny *Bismarck* przez nienawiść do naszego narodu jako katolickiego wyrugował ze szkół zupełnie język polski i zaprowadził niemiecki. Była to straszna męka dla dzieci polskich, bo nie rozumiejąc nauczyciela, nie mogły się niczego nauczyć.

Bite i katowane z niemczyzny nie korzystały, a że po polsku nie uczono, więc opuściwszy szkołę, nie umiały się nawet na książce pomodlić. Budować kosztowne szkoły, opłacać nauczycieli, a nie mieć z tego żadnej korzyści, to chyba straszna krzywda, która w najdotkliwszy i najboleśniejszy sposób dotykała wszystkich, ale najbardziej stan włościański. Otóż w tych dniach przyszedł już, jak piszą wszystkie gazety, do Najprzewielebniejszego X. Arcybitkupa *Stablewskiego* w Poznaniu reskrypt ministeryalny, na mocy którego język polski w szkołach ludowych dla dzieci polskich ma być przywrócony. Jak szerokie prawo reskrypt ten nadaje językowi polskiemu w szkole, to dopiero będzie się wiedziało wtedy, kiedy reskrypt zostanie opublikowany. Cokolwiek to będzie, będzie to zawsze zysk: lepszy nawet *rydz,* jak nic: a zysk ten trzeba będzie znowu przypisać najpierw cesarzowi *Wilhelmowi*, potem Naj-

przewieleb. X. Arcybiskupowi *Stablewskiemu* i Kołu polskiemu w Berlinie, które polskim *usłużnikom masońskim* nie dało się obalamucić i rząd cesarski w niejednej sprawie poparło.

Jak w *Austryi* niedawno temu, tak teraz i w innych państwach odbywa się zmiana ministrów: we *Francyi*, we *Włoszech*, nawet w małej *Serbii*, a co nowe ministeryum powstaje, to obiecuje ostro wziąść się do *socyalistów* i *rewolucyonistów*. Widać wszystkim się już to w uszy nalało. A bo też hultajstwo to rozzuchwaliło się już na dobre. Świeżo n. p. przyszły pocztą z *Francyi* do *Niemiec* dwie paczki wybuchające: jedna do kanclerza państwa niemieckiego hr. *Capriviego* (czyta się Kapriwiego), a druga do samego cesarza *Wilhelma II-go*. Na szczęście odkryto na czas, co w tych paczkach się mieści, bo gdyby nie to, kanclerz i cesarz byliby zginęli straszną śmiercią.

W *Rosyi* ciągle tak samo: gnębienie naszej Wiary św. i naszego narodu.

Dumania Walentego.



Usłużniki masońskie pewnie myślały, żem może już o nich zapomniał. A ja, po dawnemu mam ich na oku; czasem nawet po dawnemu w Krakowie bywam. Właśnie 1-go grudnia byliśmy tam z *Brzdękiem* i mieliśmy w powrocie ładną przygodę. Trochęśmy się zapóźnili, więc zaraz wpadamy do wagonu. Patrzymy — siedzi pan. Nieduży, niebrzydki, niestary, a bardzo po pańsku ubrany. Brodę miał przyciętą do szpica. *Brzdęk* mi potem powiadali, że to tak po francusku. Palił papierosa bardzo zgrabnie i czytał gazetę. Przywitaliśmy go, on nas; zaczął czytać dalej gazetę, a my siedliśmy sobie na drugim końcu wagonu.

— Nie udało się nam — powiadam do Brzdęka po cichu — to nie będzie *masoński usłużnik*. Smutna czeka nas jazda.

Brzdęk przypatrzyli się gazecie i powiadają:

— Czyta tę gazetę, co to Ojca św. oczernia, że nas zasprzedał schyzmatykom — to kto wie... Trzeba go zagadnąć.

Odkrząknęli po chwili i mówią:

— Czyby też pan nie był łaskaw nam powiedzieć, co słychać w świecie, zwłaszcza coś takiego, co nas włościan obchodzi?

— Owszem — powiada — ja się ludem bardzo zajmuję, byłem nawet niedawno na wiecu redaktora *Wieńca* i *Pszczółki*

Brzdęk szturknęli mnie łokciem i powiadają:

— Bardzośmy ciekawi, jak to tam było, a nie miał nam kto mądrze tego opowiedzieć.

— Ha — powiada — zaczynało się wszystko bardzo pięknie od pochwalenia Chrystusa Pana, a kończyło się wyrazem *hańba*. Wyraz to czeski i w ostatnich czasach używany przez radykalnych Czechów, przyjęty został dopiero przez partyę robotniczą polską, a raczej przez jej przywódców. Członków tej partyi właśnie za wielu było na wiecu i to wszystko zepsuło.

— Czy — zapytują Brzdęk — ta partya, a raczej jej przywódcy nie są to przypadkiem *socyaliści, rewolucyoniści?*

Jakoś mu nie na rękę było te słowa ze siebie wydusić, więc *Brzdęk* mnie znowu w bok łokciem trącnęli.

— No... tak.. tak niby... — powiada — *socyaliści... rewolucyoniści...* Otóż właśnie — powiada dalej — sprawy włościańskie są inne od spraw **chociażby** partyi robotniczej, nie może zatem włościaństwo łączyć swych interesów **ściśle** z interesami robotników miejskich, nawet co do wyborów, choć **pozornie** na gruncie sprawy wyborczej, jedni i drudzy do siebie się zbliżają. Włościaństwo jest naturalnym sposobem polskiem, katolickiem i ziemiańskiem, a przewódcy partyi robotniczej publicznie oświadczają, że są bezwyznaniowymi czyli że żadnej religii nie mają.

Kiedy on tak mówił, *Brzdęk* zwłaszcza przy wyrazach *chociażby, ściśle, pozornie* w bok mnie ciągle trącali, tak teraz powiadają:

— Troszkę tego, proszę pana, nie rozumiem, co pan powiedział. Czy nie moglibyśmy prosić o wyjaśnienie niektórych rzeczy?

— I owszem! — powiada — i owszem! szczęśliwym się czuję nad wszelki wyraz, że mogę wasze po-

czciwe głowy włościańskie napełnić cokolwiek światłem nauki i prawdy.

— Otóż, proszę pana — powiadają Brzdęk — to jest święta prawda, że włościaństwo jest polskiem, katolickiem i ziemiańskiem i to ja dobrze rozumiem. Wiem także, że rewolucyoniści i socyaliści są bez Boga i żadnej religii nie uznają, ale oni też nie uznają żadnej narodowości i Ojczyzny, a pan tego nie dołożył.

— No... tak... — powiada — niby... o tem jakoś zapomniałem...

— Więc to jedno — powiadają Brzdęk — a drugie jest to: Powiedział pan, że my włościanie jesteśmy co innego, aniżeli miejscy socyaliści i rewolucyoniści, że trzeba kochać Boga i ojczyznę, ale z drugiej strony daje pan do poznania, że właściwie powinniśmy się trzymać *rewolucyonistów* i *socyalistów*.

— Broń Boże — powiada okropnie zmieszany — broń Boże!...

— No jakżeż nie? — powiadają Brzdęk. — Przecież pan powiedział, że sprawy nasze włościańskie są inne od spraw *chociażby* partyi *rewolucyonistów* i *socyalistów* czyli, jak pan to nazywa, od partyi robotników miejskich. To *chociazby* w tem powiedzeniu pańskiem u nas chłopów tak wygląda, jakby nasze jeszcze najbliżej tamtych stały.

— A nie — powiada jeszcze bardziej zmieszany — nie, ja tak nie myślałem.

— No — powiadają Brzdęk — to już nie rozumiem tego zupełnie, co pan dalej powiedział, że włościaństwo nie może swych interesów łączyć **ściśle** z interesami robotników miejskich. Więc **ściśle** nie, ale trochę można; dalej pójdzie już samo ze siebie: od rzemyczka do koniczka. Czemu pan nie powiedział, że włościanie nie powinni **wcale** swych interesów wiązać z tymi bezbożnikami i bezecnikami?

— Ooo! ooo! mój gospodarzu — powiada jeszcze bardziej niż przedtem zmieszany — czemu się tak słówek czepiacie?

— A bo, proszę pana — powiadają Brzdęk — te słówka rzecz zaciemniają, a kto nie zastawia na nas podrywki, ten mówi zrozumiale bez takich dymów, kopciów i sadzy.

— Aj jej! co wy też mówicie — powiada już okropnie zmieszany i zaczerwieniony.

— Niech się pan uspokoi — powiadają Brzdęk — mam się pana jeszcze o jedną rzecz zapytać.

Widać było, że wolałby był, żeby się go *Brzdęk* o nic już nie pytali, ale oni mówią:

— Powiedział pan, że nawet co do wyborów my włościanie inne mamy żądanie, choć **pozornie** na gruncie sprawy wyborczej my i oni się zbliżamy. To przecież, z przeproszeniem pana, wielkie matactwo! Boć jeżeli my mamy inne żądania i potrzeby co do wyborów, aniżeli *rewolucyoniści*, to gdzież i w czem nawet **pozornie** jest między nami a nimi jakiekolwiek zbliżenie? Jeden koń idzie w tę, a drugi w przeciwną stronę, to sam pan powiada, a mimo to pan twierdzi, że te konie do siebie się zbliżają. Prawda, że pan dodaje: zbliżają się **pozornie**, ale jakiegożby trzeba było obłędu, żeby komu się wydało, iż te konie zbliżają się do siebie, kiedy one idą wręcz w przeciwne strony. Z wielkiem przeproszeniem pana, ale to pańskie gadanie tak się memu chłopskiemu rozumowi przedstawia, jakby pan chciał w oczach ludzi zacnych uchodzić za dobrego człowieka, przeciwnika *socyalistów* i *rewolucyonistów* czyli *anarchistow,* jak to po pańsku niektórzy mówią, a w gruncie rzeczy do nich pan ciągnie. Chce pan w chłopów wmówić, że jest coś takiego, co nas z *socyalistami* i *rewolucyunistami* łączy, choć sam pan przyznaje, że nas nic z nimi ani nie łączy, ani nie wiąże. To przecież dym, kopeć, sadze podrywka! Gdyby nam pan otwarcie tak powiedział, jak tośmy już w dobrych gazetkach ludowych czytali: Niech każdy przy wyborach ma, co mu się należy, niech i robotnicy mają swoje kurye wyborcze i swoich posłów, ale nie można się zgodzić na takie głosowanie, żeby *socyaliści* i *rewolucyoniści* wszystkiem trzęśli: to jabym dobrze pana rozumiał. Rozumiałbym, że pan jest przeciwnikiem bezpośrednich, powszechnych, kobiecych nawet czyli socyalistycznych wyborów. Rozumiałbym, ze pan tak samo te *socyalistyczne* wybory potępia, jak potępili je wszyscy posłowie włościanie w *Radzie państwa,* a między nimi i włościanin Jan Potoczek z Galicyi, jak potępili je wszyscy nasi posłowie, a nie tylko nasi ale i innych narodowości. A jeżeli pan jest za powszechnem głosowaniem takiem, jakiego domagają się *socyaliści,* ludzie bez Boga i Ojczyzny, to jakże może pan twierdzić, że pan chce nas utrzymać przy Bogu, przy religii i narodowości?! Z wielkiem przeproszeniem, ale ja jeszcze raz powiem otwarcie: pan tak robi, jakby pan chciał uchodzić w oczach ludzi uczciwych za dobrego człowieka, a w gruncie rzeczy ciągnie pan do *socyalistów* i *rewolucyonistów!*

Trzeba było teraz tego pana ze śpiczastą bródką widzieć, jak się wił i kręcił! Brzdęk ciągle napierali, żeby powiedział, czy jest za socyalistycznem głosowawaniem, czy nie, a on się im wymykał, jak piskorz.

— Ja nie jestem *radykalistą* — wołał ciągle — ja nie jestem *radykalistą!*

Brzdęk widząc, że już z niego nie wygniotą tego, czy jest za *socyalistycznem* głosowaniem, czy nie, tak wreszcie powiadają:

— No, to niechże pan powie, co to jest *radykalista?*

— Wyraz to — powiada usłużnik — nie polski, pochodzi od łacińskiego *radix* „korzeń“. Ci, co się radykalistami nazywają, dążą do wywrócenia wszystkiego do góry nogami, do zerwania z przeszłością, do lekceważenia religii itd.

— Toć to — powiadają *Brzdęk — socyaliści* i *rewolucyoniści* czystej wody. Czy nie tak, proszę pana.

— No, tak... — powiada — niby... ja też za nimi nie jestem. Właśnie na tym wiecu redaktora *Wieńca* i *Pszczółki* był p. *Iwan Franko*, dowódca ruskiego stronnictwa chłopskiego. Dobry człowiek i mądrze przemawiał. To tylko źle, że wyraźnie nazywał siebie i swoje stronnictwo radykalnem. No, ale wysłaliśmy... Nie, nie, nie wyslaliśmy, tylko sam pojechał p. *Wójcik*, włościanin z Wyciąż, na wiec ruski do *Śniatyna*, to on tam pewnie nie zapomni braci Rusinów pouczyć, że radykalnymi nie powinni się nazywać.

Na to odzywa się głos z drugiego przedziału wagonu:

— Czy, proszę pana, nie jest to ten sam p. Wójcik, co na wiecu redaktora *Wieńca* i *Pszczółki* przemawiał za socyalistycznem głosowaniem zupełnie podług tej gazety, którą pan w ręce trzyma?

Patrzymy wszyscy, kto to mówi, a to pan nauczyciel z Poręby, dobry nasz znajomy.

Nasz *usłużnik* aż zbladł, gdy go zobaczył.

— No... tak... — powiada — to ten sam p. Wójcik.

— A hultajstwo — powiadają Brzdęk — ostatnie hultajstwo! Czy wy, panowie, już ani Boga w sercu, ani wstydu w oczach nie macie, że uczciwy stan włościański tak uwodzicie! Toście mu tutaj kazali za socyalistycznem głosowaniem przemawiać, a tam znowu wysłaliście go, żeby socyalistów niby nawracał, żeby im mówił, iż radykalista to pochodzi od łacińskiego *radix!* On, chłop, ma nawrócić p. Iwana Frankę? To już przecież oszustwo, jakiego dawno nie widziałem! A tak kręcąc, tak bałamucąc, tak stan włościański poniewierając i wszystkiemi siłami do *socyalistów* i *rewolucyonistów* go pchając, jak wy śmiecie jeszcze mówić o Bogu, o Ojczyźnie, o rzetelnej miłości dla nas? Wstyd wam i hańba!

— Brawo! brawo! Brzdęku — zawołał p. nauczyciel z Poręby — to mu się święcie należało!

Stanęliśmy w *Zabierzowie*. Pan ze śpiczastą bródką wysiadł, a p. nauczyciel powiada:

— Nie dziwcie się, że to taki krętacz. Oni w tem piśmie, co miał w ręce, tacy sami są. Ich poseł w Wiedniu także był przeciw socyalistycznemu głosowaniu, bo inaczej mieszczanie krakowscy byliby go rozdarli, ale w swojem piśmie oni mimo to odezwali się za socyalistycznem głosowaniem, żeby *socyalistów* i *rewolucyonistów* mieć także za sobą i w ten sposób tak mieszczan, jak i socyalistów oszukać: to czyste *masońskie usłużniki.* Zawsze oni byli ni to pies, ni wydra i z tem dość długo dobrze im się działo. Teraz jednak poznali się już ludzie na nich i zbankrutowali przynajmniej na mieszczanach z kretesem...

— Zbankrutują i na chłopach — powiedzieli Brzdęk — bo na tem cygaństwie pozna się wreszcie nawet i p. Wójcik...

Wiadomości i listy od Czytelników i Przyjaciół „Krakusa“.

Chomranice (w Sandeczczyznie). Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Szanowna Redakcyo! Donoszę charakterystyczny wypadek, który może pouczyć niejednego z tych, co to zbytecznie się unoszą nad postępem w oświacie naszego ludu i uczą go napadać na tych, którzy go chcą zbawiennie prowadzić. W parafii Chomranice miejscowe Duchowieństwo i nauczycielstwo zajęło się gorliwie ludem. Ażeby pchać ten lud jako tako, założono tu kilka Kółek rolniczych, w których pouczano lud szczególnie w sprawach gospodarskich i zachęcano, aby tenże wyzwolił się z pod wyzysku żydowstwa. Z wielkim trudem doprowadzono do tego, że istnieją trzy stowarzyszenia i trzy sklepiki chrześcijańskie. Naturalnie wielką pomoc dają w tym względzie niektórzy gospodarze, n. p. Walenty Garczeński, wójt z Klęczan, Jan Dądrowski, wójt z Marcinkowic, Józef Król, wójt z Krasnego, Jan Wideł, Józef Zak i inni, ale tych bardzo mało. — Natomiast inni weszli w związki ze żydami i przeszkadzają, ile mogą, sprawie chrześcijańskiej, chociaż na pozór udają przychylnych. Wiele jednak faktów zaszło, które ich zdemaskowały, a szczególnie następujący: W okolicy, jak o wszystko, tak i mięso trudno. Żyd, karczmarz w Klęczanach, sprzedawał mięso, ale i pod względem jakości i ceny nie zadowalniał nikogo. Energiczny wójt wyznaczył mu cenę według przysługującego sobie prawa, ale żyd nie usłuchał i na tem się skończyło. Dlatego wójt, który jest zarazem przewodniczącym Kółka rolniczego, chciał urządzić rzezalnię w Kółku rolniczem. Ponieważ jednak akcyzę w Klęczanach ma żyd, przeto namówiono Waśka z Tęgoborzy, który opłaca akcyzę w Chomranicach, aby tenże urządził rzezalnię w swojem terytoryum. Należy dodać, że czyniono to na naleganie inteligencyi, której się sprzykrzył żyd. Temu Waśce stanął na przeszkodzie najpierw wójt z Chomranic Kazimierz Kwitkowski, który najpierw uciekł z domu, chociaż przedtem niby to pochwalał zamiar. Kiedy go odszukano, powiedział, że nie może, że nie ma nic do tego, że on nie chce wchodzić w takie sprawy, chociaż ze żydem wchodził. Właściwie chodziło mu o żyda, z którym częste stosunki utrzymuje. Jak tu mówią: „wójt idzie na świeże cygarko“, bo trzeba wiedzieć, że to stronnik redaktora *Wieńca* i *Pszczółki*, więc tylko na „świeże“ chodzi. Starych cygarków, starej wódki i starego piwa nie używa. Jest też podobno w komitecie Kółka rolniczego, ale ile tam pomaga, to się już nieraz okazało.

Skłopotany tym zawodem Waśko zaczął już myśleć o odstąpieniu od przedsięwzięcia, ale właśnie wtenczas przyszedł do niego żyd i proponował mu, żeby przyjął odstępne i nie wdawał się w interesa. Waśko zażądał 60 złr., t. j. tę kwotę, którą on płaci za akcyzę w Chomranicach. Żyd niby się trochę targował, ale jakoś się zgodził dość prędko i miał już wypłacić żądaną sumę, tylko nie miał drobnych na tyle i dlatego należało udać się do ojca, karczmarza w Chomranicach. Tam też poprowadził Waśkę. Ale tam była dla Waśki inna zgotowana wyplata. Otóż tam żydzi uczęstowali już poprzednio kilkunastu nie żydów!!! i skoro się Waśko pokazał, zamiast wypłacić mu, o co się ugodzili, żydzi zaczęli się z nim targować. Oczywiście Waśko nie chciał słuchać o ugodzie i zaraz się odwrócił do drzwi, chcąc wyjść. Ale tam byli nasadzeni na niego z kijami chłopi i skoro tylko wyszedł do ciemnej sieni, uderzył go jeden kołkiem w głowę tak, że zalany krwią upadł w błoto. Szczęściem był tam jego krewny, który go ujął w ręce i wyniósł na wóz, a potem pod strażą odwiózł do Tęgoborzy, bo jeszcze po drodze byli nasadzeni na niego, aby go zabić. Ten, który go uderzył, nazywa się Błażej Smoleń z Chomranic, zaś do szajki należeli Motaki i Gniewki z Klęczan, synowie starego wójta pijaka.— Przyszedłem właśnie do karczmy na tę chwilę, gdy Waśko wychodził do drzwi. Widziałem też, jak zbroczony upadł, ale nie zwracało to mojej uwagi tak bardzo, jak żydzi w tej chwili, którzy wszyscy się zebrali ciekawi wypadku. Gdy zaś tenże nastąpił, zobaczyłem na ich twarzach wyraz, który mnie przestraszył, ale więcej przeraził mnie ich śmiech. Pewnie nie prędko trafi się widzieć taki śmiech i gdybym umiał ten śmiech odmalować, podałbym go światu jako osobliwość. Tyle tam było ironii, tyle wzgardy dla imienia chrześcijańskiego, tyle podłoty. Czytałem talmud, ale ten nie nauczył mnie tyle, ile ten uśmiech o żydach. Wtedy uwierzyłem talmudowi, a właściwie temu, co o nim piszą i tej wiary o talmudzie, jaką ten uśmiech we mnie wpoił, nic do końca życia ze mnie nie wyrwie. W tej chwili rzuciły mi się łzy do ócz i przypomniałem sobie tę pracę Kościoła i szkoły koło tego ludu. Przypomniał mi się ksiądz, właśnie z tej parafii, jego łzy, jego przedstawienia, jego prośby i groźby kar Bożych, jego modlitwy gorące o nawrócenie pijaków, czego parę razy byłem świadkiem. Pomyślałem sobie: Gdybyś ty, księże, tu był, cóżby się z tobą działo? Ale zarazem przypomniałem sobie i redaktora *Wieńca* i *Pszczółki*. Tego chciałbym widzieć, jak onby patrzał na ten uśmiech. To hołd jego działalności, złożony mu od żydów. Bo wszakże słyszałem, że właśnie ci ludzie ciągle skarżą i odgrażają się swemu księdzu, a za co? Czy myślicie, że ich może zbyt karci? Nie. Ale napomina, ale przedstawia. Spodziewam się, że gdy przeczyta ten list, jeżeli go Szanowna Redakcya choć w części przytoczyć raczy, to się domyśli, kto jest ten jego zawzięty wróg Ale co mi do księdza i jego spraw? Oto tu mamy straszny okaz Judaszów i to nie 30 srebrników, ale za wódkę, za to, że się im żydzi upić dadzą, brata w Chrystusie mordują, na życie nastają. Wszak to plemię Kainów i czyżby to można uwierzyć, że są ludzie, którzy temu ludowi przypisują coś nadzwyczajnego, gdy tu tylko miłość i to heroiczna ta miłość być musi, zaparcie się siebie i straszna praca, ale praca od dołu, od *a b c* może z tego ludu coś wyrobić. Naturalnie nie czułem tego, co tu napisane, wtenczas w tej karczmie, ale coś strasznego czułem, bo chwilę tak stojąc, wyszedłem jak pijany z tej przeklętej karczmy, chociaż byłem zziębnięty, bom jechał ze Sącza i chciałem się czemś rozgrzać, ale wszystkiego zaniechałem. Siadłszy tedy na wóz, jechałem dalej i za chwilę byłem w domu. Ale jak przez drogę, tak i przez całą noc stały mi w duszy te tłumy pijane, których była pełna karczma.

NOWINY.

— **JE. p. Madeyski**, minister wyznań i oświecenia, przybył w tych dniach na chwilę do Krakowa, żeby się pożegnać ze znajomymi i kolegami; był bowiem, jak donosiliśmy, profesorem przy tutejszej, najwyższej szkole (Uniwersytet).

— **Zamach na księcia bułgarskiego.** O nowej a bezecnej robocie moskiewskiej w Bułgaryi dochodzi taka wiadomość: Dwa dni przed pochowaniem zwłok ks. Aleksandra Battenberga w Zofii odkryto zamierzony zamach na księcia Ferdynanda. Zamach przygotowywał niejaki Iwanow, były porucznik bułgarski i adjutant brygady w Ruszczuku, zkąd zbiegł i wstąpił do służby rosyjskiej. Wtedy to Benderew i Gruew namówili go do wykonania zamachu na księcia Ferdynanda i zaopatrzyli go w pieniądze i broń. W podróży do Zofii został Iwanow poznany przez swoich dawnych kolegów, wskutek czego umknął z ostatniej stacyi przed Zofią. Żandarmi i chłopi udali się za nim w pogoń i pochwycili go. Aresztowany oświadczył, iż zamach miał być rzeczywiście wykonany podczas uroczystości pogrzebowych. Iwanow jest człowiekiem młodym, Bułgarem z urodzenia i umknął z Ruszczuku ze żoną izraelity, zajmującego się sprzedażą cygar. W więzieniu rzucał się Iwanow, jak wściekły, wołając: „Zabiłbym księcia nawet dziś“. Przyznał się on, że już w Filipopolu chciał wykonać zamach, ale mu się sposobność nie nastręczyła, ponieważ książę będąc słabym, nie wychodził z domu.

— **Smutny wypadek**. Z Nowego Sącza donoszą, że p. Hipolit Gozdowa Reklewski, właściciel Czarnego Potoka, wysiadając przed gankiem u siebie, wypadł z bryczki tak nieszczęśliwie, że się zabił na miejscu.

— **Książę zakonnikiem.** Syn księcia Aleksandra Schönburga, posiadacza dóbr Królowo-Pole w Czechach, postanowił wstąpić do zakonu. Książę Edward Schönburg, który służył jako rotmistrz przy ułanach, uda się do Rzymu, aby wstąpić do zakonu z ostrą regułą.

— **W Brukseli**, mieście belgijskiem, urządzono na próbę *socyalistyczne* głosowanie na posłów. Otóż pokazało się, że z wyborów tych wyszedł tylko **jeden** katolik, siedmiu *masońskich usłużników*, a dziesięciu *rewolucyonistów*. Otóż teraz widzi każdy naocznie, piszą gazety, coby się stało z Wiarą św. i wszystkimi stanami, gdyby na prawdę zaprowadzono *socyalistyczne* głosowanie.

— **Francuskie gazety** donoszą, że sprawcy strasznego zamachu w Barcelonie zostali odkryci. Jeden z nich otrzymał polecenie zgaszenia światła gazowego w teatrze, aby wśród ciemności mogli anarchiści rzucać bombę za bombą między przerażone tłumy. Piekielny ten pomysł nie udał się, z powodu że mający owo polecenie nie mógł odszukać tak zwanego gazometru.

— **Węgry.** Książę prymas węgierski Waszary zwoła w tym tygodniu konferencyę biskupów węgierskich, aby się naradzić, jakie stanowisko winien zająć Kościół katolicki wobec zmian co do ślubu cywilnego itd., które masońscy ministrowie zamyślają przeprowadzić.— Trzeci wiec tegoroczny katolików, który się miał odbyć już dość dawno, został atoli przez masońskiego ministra spraw wewnętrznych niby odwołany z powodu cholery, odbędzie się w niedzielę. Liczba spodziewanych uczestników jest ogromna.

— **Francya.** W Paryżu umarła niedawno temu Siostra Miłosierdzia, Adryanna, przeżywszy lat 84. Od lat sześćdziesięciu była ona zajęta pielęgnowaniem chorych uczniów jednego z tamtejszych zakładów szkolnych. Kiedy jeden z jej dawnych, znajomych wychowanków, Ferry, już jako minister, przyniósł jej osobiście krzyż legii honorowej w dowód uznania jej pracy pełnej poświęcenia, widząc w nim przedewszystkiem wroga Kościoła, powiedziała mu ostro: „Nic nie wezmę od ciebie, ty nicponiu!“ — i nie przyjęła zaszczytnej odznaki.

— **Nowy sposób ścinania drzew.** W wielkich lasach Ameryki, gdzie osadnicy, chcąc sobie założyć siedzibę, muszą pierwej strasznie napracować się nad wycięciem i uprzątnięciem ogromnych drzew, zaczęto używać sposobu ścinania ich nie siekierą ani piłą, ale cieniutkim drutem. który w kilkanaście minut przerzyna najgrubsze pnie tak łatwo, kiedy mydlarz kraje cienkim sznurkiem albo drutem mydło. Jakim się to dzieje sposobem? Oto po owym cieniutkim druciku puszcza się elektryczność, która drucik rozżarza do czerwoności, a ten przepalając drzewo, przecina je gładko, jak nożem. Do tego jednak używać trzeba drucika z platyny, t. j. metalu podobnego cokolwiek do srebra, a mającego ten przymiot, że w bardzo nawet silnym ogniu się nie topi. Ładny sposób, niema co mówić. Ale szukajże tu u nas elektryki i kupujże drucik platynowy, co ma wartość srebra!

— **Zima przed 150 laty.** Jedna ze starszych kronik pisze, że w roku 1740 panowała okrutna w całem tego słowa znaczeniu zima. W październiku już mróz był nadzwyczajny, a w listopadzie większa część rzek pokryła się lodem. Marzły zwierzęta dzikie i swojskie, a nawet mnóstwo ludzi zmarzło. Woda, wylana z trzeciego piętra, upadała na ziemię w postaci sopli, a nawet ślina zamarzała w powietrzu. Grabarze, chcąc grób wykopać, musieli wprzód w przeznaczonem miejscu potężne rozpalić ognisko, grunt bowiem przeszło na trzy łokcie w głąb ścięty był i twardy jak kamień. Płytsze jeziora zmieniały się w lód aż do dna. Ptaki zmarzły w powietrzu, a w samej Szwecyi zmarzło przeszło 80 tysięcy wołów... Jeżeli kronikarz w niczem nie przesadził, to dziwić się należy, że została jeszcze jaka żywa istota, przynajmniej w północnej Europie.

— **Na świecie** zamieszkuje około pięć tysięcy pięćset milionów ludzi. Ze wszystkich ludzi na świecie cokolwiek więcej niż połowa jest kobiet. Czwarta część ludzi na świecie umiera przed 15 rokiem życia. Przeciętne trwanie życia ludzkiego jest 36 lat. Na całym świecie umiera od 33 do 34 milionów ludzi. Co dzień kończy życie około 91.500 osób.

Ceny zboża
(z targu na Kleparzu).

Kraków 5 grudnia.

Płacono: za pszenicę białą od 7 złr. 80 ct. do 8 złr. 30 ct., za czerwoną od 7 złr. 50 ct. do 8 złr. 15 ct., za żółtą od 7 złr. 50 ct. do 8 złr. 15 ct., za żyto od 6 złr. 35 ct. do 6 złr. 65 ct., za jęczmień browarny od 7 złr. — ct. do 7 złr. 50 ct., na paszę od 5 złr. 40 ct. do 5 złr. 80 ct., za owies od 6 złr. 50 ct. do 6 złr. 90 ct., za rzepak od 12 złr. 75 ct. do 13 złr. 50 ct. — Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca god.	Wschód słońca min.	Zachód słońca god.	Zachód słońca min.
10	*Nied. 2 Adwentu. N. Maryi P. Loret.*	7	31	3	37
11	Pon. Damazego papieża.	7	32	3	37
12	Wt. Aleksego i Pawła.	7	33	3	37
13	Śr. *Post.* Łucyi, Otylii p. i Eugen.	7	33	3	37
14	Cz. Nikazego b. i Spirydyona.	7	34	3	37
15	Piąt. *Post.* Ireneusza męcz.	7	35	3	37
16	Sob. *Post.* Euzebiusza i Albiny. ☽	7	36	3	37

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:
Ksiądz Wawrzyniec Oprzędek.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.